

## RELIGIA LUDOWA NA DALEKIM WSCHODZIE

## Świadectwo misjonarza

Gdy zastanawiam się nad moimi osobistymi kontaktami z innymi religiami Dalekiego Wschodu, gdzie przebywam od wielu lat, pierwsze wspomnienie, jakie przychodzi mi na myśl, związane jest z wieczornymi czuwaniem w wioskach, które odwiedziłem w Birmie podczas mych misjonarskich objazdów. Działo się to dwadzieścia pięć lat temu.

Katecheci, którzy mi towarzyszyli, oraz chrześcijanie, którzy czasami przyłączali się do naszej małej grupy apostołskiej, mieszkali wraz ze mną w jednym domu, gdy tylko było to możliwe. Trzeba powiedzieć, że wiejskie domy południowej Birmy były zazwyczaj zbudowane na palach, miały tylko jedno piętro, a nawet — ściślej rzecz biorąc — tylko jedną wspólną salę, przedzieloną, lub nie, na części. Sprawiało to, że gospodarze, którzy nas gościli, i my sami pozostawaliśmy razem przez cały wieczór, do późna w nocy, po czym każdy odchodził do swego kąta i kładł się spać.

Drzwi i okna pozostawały zawsze otwarte, co stanowiło zaproszenie dla każdego, kto miałby ochotę wejść i usiąść wśród nas — bez żadnej ceremonii. Rozmowy toczyły się wartko i czasami wydawało się, że przeciągną się w nieskończoność. Ludzie, którzy przychodzili z nami „gawędzić”, byli najczęściej poganami, buddystami. W Birmie ogromna większość ludności należy do buddyzmu „małego wozu”, najbardziej surowego z doktrynalnego punktu widzenia. Ale dla maluczkich Budda jest równoznaczny z bogiem nie wykluczającym innych bóstw.

Najbardziej treściwe rozmowy toczyły się najczęściej wokół religii. Tłumaczyli nam chętnie to, co potrafili powiedzieć o swojej religii, to znaczy o buddyzmie, i słuchali nas równie chętnie, gdy mówiliśmy o naszej. Ale gdy ryzykowaliśmy jakieś porównania, musieliśmy być ostrożni, aby nie zranić ich głębokich przekonań. I moglibyśmy uważać się za szczęśliwych, gdy — przed rozstaniem — mówili nam: „Macie takie samo serce jak my!” Na ogół nie posuwaliśmy się dalej.

Inne wspomnienie, związane z Birmą i z buddyzmem, łączy się z czymś, co jako misjonarze spotykaliśmy tam codziennie, a mianowicie z nauczaniem *ex cathedra*, jakiego bonzowie chętnie

udzielali tłumom swych adeptów, zwłaszcza przy ważnych okazjach.

Kiedy wieczorem spacerowaliśmy po mieście Rangun, w pobliżu niektórych wielkich pagód, często widywaliśmy nauczających bonzów. Jeśli bonza zajmował wysokie miejsce w hierarchii, zajmował również odpowiednio wysoką pozycję w fizycznym sensie tego słowa. Chcę przez to powiedzieć, że nauczał siedząc w pozycji kwiatu lotosu na wysoko ustawionym siedzeniu, które nieco przypominało tron; w każdym bądź razie nie było podobne do ambony takiej, jaką spotykaliśmy w przeszłości w naszych kościołach.

Duże wrażenie robił widok jaskrawo oświetlonego bonzy, udrapowanego w szatę w kolorze szafranu, z całkowicie ogoloną głową, nauczającego w mistrzowski i nieco teatralny sposób setki słuchaczy siedzących przed nim na ziemi, na zwykłych matach spełniających rolę dywanu. Zdarzało się często, że nauczanie to trwało godzinami.

Przypominam sobie, że kiedyś podczas wielkiego święta buddyjskiego, gdy tysiące pielgrzymów cisnęły się wokół słynnej pagody, pewien ksiądz katolicki został niespodziewanie poproszony, by przemówił do tłumu. Chodziło o ojca Morane, jednego z nielicznych, czysto birmańskich księży archidiecezji Rangun, księdza znanego z tego, że słowa przychodziły mu łatwo, a jego gesty były tak wymowne, że bez trudu zjednywał sobie audytorium. Główny bonza pagody wiedział doskonale, kim on jest: prawdziwą atrakcją dla tłumów.

Tego dnia ojciec Morane mówił nieprzerwanie przez cztery godziny. Wydawało się, że ludzie, którzy go słuchali, nie zdawali sobie sprawy z upływu czasu. Wprost przeciwnie, byli mu wdzięczni za ten *show* w stylu Billy Grahama. Ojciec mówił jedynie o religii; czuwał, aby nie zadrasnąć ich głębokich uczuć; zaaplikował im kilka prawd religii chrześcijańskiej, ale — jak się wydaje — nie udało mu się zaniepokoić pielgrzymów sprawą ich własnego zbawienia.

Trzecie wspomnienie, dotyczące tego samego tematu, wiąże się z jednym z naszych starych misjonarzy francuskich z Dolnej Birmy, ojcem Filipem, człowiekiem Bożym w służbie u chrześcijan tamilskich (indyjskich) z delty Irrawaddi. Ksiądz ów przebywał sześćdziesiąt lat na misji, nigdy nie odwiedzając Francji.

Birmańczycy uważali go za jednego z nich i wszyscy, bez względu na religię, szanowali go jako prawdziwego człowieka Bożego. Otóż, mieszkał on bardzo blisko ujścia wielkiej birmańskiej rzeki, odległego o dzień drogi statkiem od stolicy, Rangun. Zbudował dla swych indyjskich chrześcijan (z pomocą innego,

młodszeo księozda, ojca Gagelin) wspaniało zespół parafialny, gdzie z okazji ważnych świąt przybywały tłumy chrześcijan, nie tylko rasy tamilskiej.

Z drugiej strony szerokiej rzeki, prawie naprzeciwko Kyaylat, misji ojca Filipa, znajdowała się pustelnia buddyjska, w której przebywał bonza mogący poszczycić się równie szacownym wiekiem co ojciec. Ów bonza zdobył sobie pewną reputację jako mędrzec. Liczni buddyści odbywali specjalnie podróż statkiem, aby zasięgnąć jego rady lub skorzystać z jego nauk.

Otóż ów bonza zwykł mawiać do swych adeptów: „Ależ idźcie do mego brata, na drugą stronę rzeki!” I tak się właśnie działo: liczni buddyści uzupełniali swą wizytę u starego bonzy wizytą u starego księozda.

Widziałem zresztą coś podobnego w Sajgonie (Wietnam) jakieś dwanaście lat później. Ze szczytu wieży-pagody na przedmieściu, buddyjski bonza miał zwyczaj przemawiać do swych wiernych przez głośnik lub raczej przez tubę. Zwracał się kolejno w cztery strony świata, aby głosić swe nauki, trochę tak jak muezin wzywa do modlitwy z wierzchołka swego minaretu.

W wigilię świąt Bożego Narodzenia wpadł na wspaniało pomysł, zapraszając swych wiernych na uroczystości chrześcijańskie w sąsiedniej parafii. Jej proboszcz, ojciec Troger z Zagranicznych Misji Paryskich (MEP), zorganizował wieczorne czuwanie na świeżym powietrzu, obok swego kościoła, zbyt małego, aby pomieścić wszystkich chrześcijan, których spodziewał się z tej okazji. Przygotowano estradę na część artystyczną, mającą poprzedzić uroczystość religijną. Ta sama estrada miała następnie posłużyć dla odprawienia Pasterki.

Przybyło tyle ludzi tej nocy, że nie wiadomo było, gdzie ich pomieścić. Około 400 przygotowanych krzeseł zostało od razu wziętych szturmem i nikt nie potrafiłby odróżnić tu pogan od chrześcijan.

Oczywiście, przed właściwą uroczystością religijną, ksiądz proboszcz uprzedził ludzi i zachęcił chrześcijan, aby zbliżyli się do podium, podczas gdy niechrześcijanie zaczęli się wycofywać. Ale pozostało ich tyłu podczas całej mszy, że w końcu należało im wyjaśnić, iż komunia Chleba Eucharystycznego jest przeznaczona jedynie dla ochrzczonych. Przypominam sobie, że usłyszałem, jak młody poganin pytał półgłosem swego kolegę: „Czy to znaczy, że nie dostaniesz pastylki, jak wszyscy?” Ilu pogan znalazło się owej nocy przy Stole Pańskim? Nikt nie jest w stanie tego powiedzieć.

To mi przypomina, iż w roku 1971, gdy pielgrzymująca Matka Boska z Fatimy przybyła do Południowego Wietnamu, przyjęli

ją nie tylko katolicy. W istocie, w sposób bardzo oficjalny, arcykapłani sekty kaodaistów (która liczy dwa miliony adeptów w Południowym Wietnamie) poprosili (i uzyskali na to zgodę), aby pozwolono im przyjmować ją przez kilka godzin w Tai-Nin, gdzie znajduje się ich ośrodek religijny i siedziba ich „papieża”. W ten sposób mogliśmy oglądać w bezpośredniej transmisji prowadzonej przez państwową telewizję wietnamską wspaniałe uroczystości zorganizowane ku czci Matki Boskiej przez ludzi, którzy nie mieli wiele wspólnego z chrześcijanami.

Warto przytoczyć jeszcze inne wspomnienia wśród tych, które wywarły na mnie największe piętno podczas mego misjonarskiego życia. Pierwsze dotyczy wydarzenia, które miało miejsce w Seulu, w maju 1984 roku, podczas wizyty papieża Jana Pawła II w Korei, z okazji kanonizacji 103 męczenników z tego kraju. Udałem się tam jako członek grupy 300 chrześcijan francuskich, spokrewnionych z owymi świętymi męczennikami.

Po zakończeniu uroczystości kanonizacyjnej, która odbyła się na wielkim placu Yonido w Seulu, wsiałem do taksówki z kilkoma przyjaciółmi. Colette, Francuzka, która mówiła po koreańsku, zapytała kierowcę, czy wie, co się dziś zdarzyło w Seulu. Odpowiedź tego prostego poganina była wspaniała: „Jakżeby nie wiedział! «Cesarz» chrześcijan pofatygował się aż z Rzymu, aby nas odwiedzić. Wszyscy słuchaliśmy go dziś rano przez radio. Był nawet tak dobry, że powiedział nam kilka słów w naszym języku”.

Trzeba przyznać, że tego 6 maja plac Yonido wypełniony był do ostatniego miejsca, że gdyby nie zakaz wstępu dla niechrześcijan, byłby tam nie milion, ale dwa miliony uczestników: tak zelektryzowała mieszkańców miasta wizyta Ojca Świętego. Tego dnia był on jak gdyby Ojcem wszystkich ludzi.

Jeszcze inne wspomnienie wiąże się z Nagasaki. Miało to miejsce kilka dni później, gdyż plan naszej podróży przewidywał krótki pobyt w Japonii. Pojechałem tam z moim przyjacielem, ojcem Quennouëlle. Uczestniczyliśmy w spotkaniu modlitewnym u jednej z rodzin japońskich. Gdy wyszliśmy od niej, około godziny 21, byliśmy jeszcze bez kolacji. Ojciec zaprosił więc mnie do małej restauracyjki na chińską zupę, którą mieliśmy spożyć w towarzystwie Cécile, jednej z jego współpracownic. Jedząc, rozmawiał z nią po japońsku, nie zauważywszy, że jedna z kelnerek słuchała tego, co mówił, z rosnącym zainteresowaniem. Ojciec, wypełniony Bogiem, nie ukrywał swej wiary i mówił o niej równie swobodnie, jak inni mówią o swych sprawach.

Nagle, widząc, że ostatni klient zbiera się do odejścia, kelnerka otworzyła szufladę i wyjąwszy z niej dwie książki nieśmiało

pokazała je ojcu. Jego koloratka i treść jego rozmowy przekonały ją, iż ma do czynienia z księdzem. Jakież było zaskoczenie ojca, gdy stwierdził, że jedna z ksiązek przedstawiała żywot ojca Maksymiliana Kolbe, a druga była modlitewnikiem (obie książki napisane były w języku japońskim!)

Zaczął wówczas wypytywać kelnerkę i w ten sposób dowiedział się, że jest ona poganką, ale chodzi do Kościoła tak często, jak tylko pozwala jej na to praca. Na początku nie miała odwagi. Słyszała bicie dzwonów i wydawało się jej, że wzywają one właśnie ją. Jedna z koleżanek, również poganka, powiedziała jej wówczas: „No to idź tam! Wpuszczą cię. Nie ma się czego obawiać!” I pewnego dnia zdecydowała, że właśnie tak postąpi. A potem nadal tak robiła, naśladując tak jak umiała gesty i słowa chrześcijan. Było jej dobrze. Gdy wracała samotnie o północy do swego nędznego pokoju, po zakończeniu pracy, nie mogła zdecydować się pójść do łóżka bez odmówienia wszystkich modlitw, które sobie sama wyznaczyła.

Później dowiedziałem się, że w końcu została ochrzczona.

Inny przykład, z Makao, położonego blisko Hong-Kongu, czyli u wrót Wielkich Chin. Miasta, które — z eklezjalnego punktu widzenia — żyje jeszcze swymi zdobyczami z ery kolonialnej i zapadło jak gdyby w letarg z apostołskiego punktu widzenia; miasta, którego ludność pomnożyła się dziesięciokrotnie od drugiej wojny światowej, i w którym — co zdarza się często w takich przypadkach — można znaleźć ukryte samородki złota.

Hélène Frong jest tego przykładem. Jej nawrócenie (jest pierwszą chrześcijanką w swej rodzinie) było długą wędrówką. Naukę na poziomie średnim pobierała pod kierunkiem Sióstr Franciszkanek Misjonarek Maryi w gimnazjum Sainte-Rose w Lima de Macao. Zachowała wspaniałe wspomnienia z tego okresu. A jednak jej nawrócenie na Chrystusa nastąpiło dopiero przeszło dziesięć lat później. Przyciągnięta sławą ojca Mario, salezjańskiego księdza, który uchodził za świętego, apostoła wyspy Coloane (w pobliżu Makao), odwiedziła go, nawet kilkakrotnie.

Pewnego dnia ojciec Mario powiedział mi: „Ta dziewczyna nadawałaby się świetnie na członka waszej przyszłej wspólnoty konsekrowanych świeckich”. Panna Frong nie była wówczas nawet ochrzczona. Znała modlitwy, gdyż nauczyła się ich u Sióstr, ale nie uczęszczała na lekcje katechizmu.

Wreszcie ojciec Mario poradził swej pupilce, aby zgłosiła się do mnie w celu przygotowania jej do chrztu. Przez prawie rok przychodziła regularnie co niedziela o godz. 10 na godzinną lekcję religii. Opuściła lekcje tylko dwa czy trzy razy z powodów rodzinnych. Po moim wyjeździe z Makao kontynuowała naukę

z innym księdzem, aż do dnia chrztu, który został jej udzielony wraz z bierzmowaniem, w parafii Matki Boskiej Fatimskiej, dnia 13 października 1987 roku, w siedemdziesiątą rocznicę objawień fatimskich.

Następnie udała się do Taipei (Tajwan) na sześciodniowe skupienie modlitewne, a obecnie oczekujemy jej ostatecznego wstąpienia do *Foyer de Charité*, które zaczyna swą działalność w tym mieście.

Od czterech lat, dwa razy do roku, ojciec Thébault (z Ekwadoru), ojciec Quennouëlle (z Japonii) i ja, staramy się organizować, z pomocą naszych wiernych współpracowników, zakonników lub księży diecezjalnych, przedstawicielei lokalnego kleru, dni chrześcijańskiego skupienia, podobne do tych, jakie odbywają się od pięćdziesięciu lat we wszystkich *Foyers de Charité* świata. Przez sześć dni, w ciszy i modlitwie, przyjmowane są tam osoby wszystkich stanów, wierzące i niewierzące, które pragną otrzymać pełne Słowo Boże, przekazywane przez Kościół, i spotkać się z Bogiem Żywym.

Za każdym razem jestem zdumiony, a często nawet wstrząśnięty świadectwem niektórych naszych rekolektantów, którzy przychodzą tu bezpośrednio ze stanu pogaństwa i znajdują się dopiero na początku swej chrześcijańskiej drogi. Jedna z kobiet powiedziała mi: „Dziękuję Bogu. Dziękuję wam za wszystko. Czułam się taka spokojna wśród was. Wiele rzeczy wywarło na mnie wrażenie podczas skupienia: pierwsza miała miejsce w kaplicy, gdy odbywałam tam «adorację». Poczulałam się tak blisko Jezusa, jak byśmy znaleźli się, On i ja, twarzą w twarz, rozmawiając jedno z drugim. Nigdy przedtem nie zaznałam czegoś podobnego. Druga rzecz zdarzyła się podczas «drogi krzyżowej». Czułam, że się rozplaczę i z trudem powstrzymywałam łzy. Gdy tylko wróciłam do pokoju, pozwoliłam łzom płynąć swobodnie i bardzo długo płakałam. Odczuwałam to samo, co wówczas, gdy straciłam mojego ojca, przed kilkoma laty. Czułam taką boleść, że następnej nocy nie mogłam jeszcze spać”.

Osoby te są często jedynymi nawróconymi w swych rodzinach; przekonałem się o tym wielokrotnie. Robią wszystko, co mogą, aby — jeśli już nie uda się im doprowadzić do nawrócenia kogoś ze swych bliskich — przynajmniej stawić opór wszystkim prądom sprzecznym z ich wiarą i ich nową nadzieją.

To skłania mnie do stwierdzenia, iż w Azji rzadkie są przypadki nawróceń masowych, czy nawet nawrócenia całych rodzin. W najlepszym razie można by mówić o nawróceniach łańcuchowych, które dokonują się najczęściej powoli i mozolnie.

Przypominam sobie, że w latach siedemdziesiątych ukazała

się książka zatytuowana *Diéu aime les païens* („Bóg kocha pogan”). Już sam ten tytuł był dla mnie objawieniem; ileż bowiem razy w mym misjonarskim życiu dane mi było przekonać się o słuszności tej prawdy? To nie oni sami wprowadzają do serca tego niebezpiecznego Gościa, a wraz z Nim ten wymóg wyjścia poza siebie i tę świadomość moralną, którą Gandhi porównuje kolejno do cichego głosiku i kolumny ognia. Nie bez powodu prorok powiedział: „Naród kroczący w ciemnościach ujrzał światłość wielką” (Iz 9, 1).

Buddyzm, który spotykamy codziennie w Azji i który jest często przemieszany z innymi wierzeniami, oparł się na agnostycyzmie roztapiającym wszelką trwałość myśli i porzucającym nadzieję wszelkiej pewności religijnej. Zastępuje on obrzędy i rytuały pewną moralnością, która staje się tutaj pierwszym środkiem zbawienia. Jest w nim jedynie mowa o moralności, o poszanowaniu wszelkiego istnienia i o nagrodach w przyszłym życiu, zagwarantowanych dzięki posłuszeństwu Buddzie.

Ale dla masy wiernych Budda spełnia całkowicie funkcję boga, chociaż nie jest bogiem. Należy się do niego modlić, a on nas słucha. Jest to największy z bogów. Sytuuje się daleko ponad (tysiącem i jednym) lokalnymi bóstwami i duchami dawnych religii. W dalszym ciągu można zwracać się od czasu do czasu do tych ostatnich o względy. W tym sensie można powiedzieć, że poganie, wśród których żyjemy na Dalekim Wschodzie, posiadają naprawdę „religię”, religię politeistyczną z najwyższym bogiem, jakim jest Budda. Ale nie był to zamysł założycieli tej religii, ani ich bezpośrednich uczniów.

Idea Dobra, rodząca przymus moralny, ukazuje w sposób czasami jaskrawy swe boskie pochodzenie u człowieka idącego za wezwaniem swego sumienia. Jest ona dążeniem, wspólnym powołaniem; może nadać prawdziwy sens każdemu życiu ludzkiemu, jeśli tylko nie zostanie przyćmiona przez swe przeciwieństwo: skłonność do zła. Jest ona kamieniem milowym, wytyczną, siewem tego, co ma przyjść.

Większość ludzi, których spotykamy, postrzega w swym życiu jedynie wielorakie i fragmentaryczne aspekty działania Boga. Są oni podobni do fragmentów rozbitego lustra. Pewnego dnia, dzięki opatrności Bożej, wszystkie te aspekty łączą się, wszystkie fragmenty wiążą się, aby stworzyć prawdziwe lustro ukazujące Tego, który we wszystkim kieruje się swą mądrością. Nie należy nigdy zapominać, że pewnego dnia „przypomną sobie i wrócą do Pana wszystkie krańce ziemi; i oddadzą Mu pokłon wszystkie szczepy pogańskie” (Ps 22, 28).

tłum. Małgorzata Tryc-Ostrowska